

Nie możesz być silniejszy od przeznaczenia

(Eurypides)

Letnie wakacje Mata powoli dobiegały końca – jeszcze tylko dzień i trzeba będzie wracać do domu, żegnając na długi czas (na ile, tego nie wie nikt) piękną Grecję.

Będąc tu dwa, długie tygodnie zwiedził wszystko, co było warte zwiedzenia – od zadymionych, hałaśliwych Aten z ich Narodowym Muzeum Archeologicznym na czele po oślepiająco jasne wyspy, obfitujące w starożytne akcenty, pępek świata w Delfach, centrum kultu Apollina (dotknięcie owego pępka – sporego, kamiennego stożka gwarantowało ponoć powrót w te strony), mnóstwo niezwykłych kolumn na wyspie Delos, równie niepowtarzalne freski w pałacach na Krecie, ruiny antycznych budowli: sławne Mury Cyklopie, zabytki kultury mykeńskiej z Bramą Lwic i ogromnymi grobowcami kopułami tak sławnych mężów jak choćby Agamemnona, przeróżne świątynie, klasztory, twierdze oraz pałace bizantyjskie, w końcu pozostałości po Atlantydzie na Santorini.

Ponadto gorące słońce, przejrzyste morze i liczne, nastrojowe tawerny, pulsujące wesołą muzyką i radością życia sprawiały, że było to miejsce idealnego wypoczynku i relaksu, bez względu na porę dnia i nocy, gdyż zabawa trwała tu całą dobę i nikt nie myślał o śnie.

Bowiem być Grekiem to jeść, pić, biesiadować całymi rodzinami, od wnuka po dziadka, i cieszyć się rzeczami, których niejednen obcokrajowiec nawet nie dostrzeże.

Razem, pod jednym dachem, jadali ludzie różnych profesji i o różnym statusie majątkowym, gdyż jak mawia ludowe powiedzonko: „*Gdyby wszyscy byli bogaci, nikt nie chciałby wioskować...*”

Jako że był to ostatni dzień pobytu, Mat obudziwszy się skoro świt postanowił spędzić go na czymś pożytecznym, zważywszy, iż niebawem wszystko stanie się jedynie barwnym wspomnieniem, utrwalonym na licznych zdjęciach i złożone zostanie na poczytnym miejscu gdzieś, w przepastnych „piwnicach pamięci”, aby tam trwać niczym kolorowy film, którego nikt nigdy nie nakręci już w ten sam sposób.

Po śniadaniu, zabrawszy aparat fotograficzny, ruszył gdzieś uliczkami miasteczka.

Przechodząc koło jakiegoś straganu z pamiątkami, dostrzegł kątem oka spory tłumek ludzi, oglądających z zaciekawieniem towary wystawione na sprzedaż przez głośno zachęcającego do ich kupna, kędzierzawego, ogorzałego od słońca Greka o twarzy pirata morskiego, i w przypływie nagłej ciekawości postanowił zobaczyć, co też ów handlarz ma interesującego, skoro zgromadził wokół siebie tak wielu potencjalnych nabywców.

Podszedł więc bliżej i precyzyjnie się przez gąszcz oglądających, stanął po chwili przed tą zapierającą dech, niepowtarzalną i jedyną w swoim rodzaju, „Grecją w miniaturze”.

Wnet ujrzał to, co tak żywo zaintrygowało owych turystów: alabastrowe figurki bogów greckich, wazy, koraliki, talerze z rysunkami nawiązującymi do mitologii, mini akropole, noże, amfory, bransoletki, futra, miód, sztuczną biżuterię, ludowe garnki i drewniane łyżki, kubki z muszelek, repliki starych ikon i dzieł antycznych, wyroby ze skóry i drewna oliwnego, przeróżne, bogato zdobione sandały, ręcznie tkane koronki, kilimy i dywany z koziej lub owczej wełny, ceramiczne maski, przedstawiające wizerunki

mężczyzn z tajemniczym, szyderczym wyrazem twarzy, figurki Minotaura – pół człowieka, pół byka, słynne *komboloi*, czyli typowe zabawki męskie, przypominające różańce, których kolorowe paciorki przekłada się bezwiednie dla relaksu w palcach, czy w końcu *mati* – greckie oko, służące do ochrony przed złem.

- Jest w czym wybierać... - rzekł do siebie, patrząc na imponujący stragan. – Chyba skuszę się na jakąś niedrogą pamiątkę.

I wybrawszy małą wazę z wizerunkiem Heraklesa, którego nadludzkie czyny są nadal popularnym motywem w greckiej sztuce ludowej, sięgnął z niekrytym entuzjazmem do kieszeni spodni po portfel, który zabrał ze sobą, opuszczając pensjonat.

Niestety nie znalazł go tam.

Przysięgłby, że jeszcze dziesięć minut temu miał go...

- Przecież zabrałem go z pokoju... - jęknął boleśnie, przeczuwając już mgliście, że prawda okaże się niestety jednoznaczna i niebawem przyjdzie mu ją odkryć. – Na pewno go zabrałem. Niemożliwe, abym ruszył się na miasto bez niego...

W akcie desperacji postanowił natychmiast wrócić i sprawdzić.

Kiedy już wiedział wszystko, usiadł zrozpaczony na podłodze swego pokoju i przez chwilę zastanawiał się, mając w głowie jeden, wielki zamęt, w jaki sposób dał się tak łatwo okraść, stojąc zaledwie przez krótką chwilę wśród turystów, oglądających owe ludowe pamiątki.

Nawet nie poczuł, kiedy wprawna ręka złodzieja zagościła bezkarnie w jego kieszeni...

To wprost niepojęte i przerażające swą bezbłędną precyzją wykonania! Mrozącą krew w żyłach wirtuozeria! Majstersztyk, jakich mało – wszak doskonała improwizacja, to dobrze przygotowana improwizacja.

„Pracuj, żeby jeść, a kradnij, żeby mieć...” – jak głosi znane greckie przysłowie, które nagle ukazało całą swą brutalną prawdę, odartą ze zbędnych ornamentów.

- I co teraz? – jęknął ciężko. – Co w tej sytuacji począć? Dobrze, że mam bilet powrotny, ale co z pokojem? Czym za niego zapłacić? Jestem przecież bez grosza...

Nie mając już naprawdę nic do stracenia, gdyż pieniędzy chwilowo nie posiadał, a osobiste rzeczy, które miał, pozostały w pensjonacie, postanowił przejść się bez celu po miasteczku, aby nie myśleć o tym, co mu się przytrafiło i jakoś, bodaj na moment, oszukać samego siebie, że wszystko jest po staremu, jak gdyby nigdy nie doszło do owego fatalnego incydentu.

Idąc uliczkami greckiego miasteczka przez chwilę pomyślał nawet o ucieczce z pensjonatu w samym środku nocy i przeczekaniu gdzieś w ukryciu godzin, które pozostaną do odlotu samolotu (niestety, musiałby czekać aż do czternastej), i co wysoce komplikowało sprawę, musiałby także dotrzeć do Salonik (tam bowiem znajdowało się lotnisko), czyli pokonać odległość około stu czterdziestu kilometrów, bez pieniędzy, co zmusiłoby go z kolei do złapania na drodze tzw. okazji, jeśli takowa w postaci jakiegoś uczynnego kierowcy w ogóle nadarzyłaby się...

Jednak porzucił dość szybko tę niedorzeczną, zuchwałą myśl – znano niestety jego personalia, zatem problem zostałby zażegnany tylko chwilowo.

Nawet nie zauważył, kiedy był już poza miasteczkiem i podążał nieznaną leśną drogą, biegnącą w górę (miejscowość znajdowała się w dolinie otoczonej zalesionymi zboczami gór), idąc bezwiednie tam, gdzie go nogi poniosą.

Po godzinie marszu dotarł do innej drogi, okalającej przepiękną, malowniczą zatokę, na której ujrzał kilka żaglówek i dużych łodzi, i która oglądana ze sporej wysokości dała wnet wymowne świadectwo swego piękna – okazałe skały i klify spadały z gór i lasów prosto do morza, przyprawiając oglądającego swym urokiem o cudowny zawrót głowy.

Stojąc i obserwując niezwykle widok, Mat zapragnął nagle zejść nad samo morze.

Jakiś duch przekory (pod jej bodźcem często działamy bez określonego powodu lub dla powodów, dla których działać nie należy), nakazywał postąpić na złość rzeczywistości i zapominając o niej na tyle, na ile będzie to możliwe, odrzucić ją precz i skupić uwagę na zupełnie nowej, interesującej rzeczy, co byłoby w owej chwili „namiastką spokoju”.

Choć warunki zejścia na małą, niepokazną plażę, która majaczyła urokliwie w dole zniewalając wyobraźnię, ze względu na sporą pochyłość zbocza nie były zbyt łatwe, owa nieodparta chęć zobaczenia, co jest niżej, wzięła w końcu górę.

Po chwili schodził już ku morzu, ostrożnie stawiając stopy na największych głazach, uprzednio badając, czy przypadkiem się nie obsuną.

Metr po metrze, zsuwał się w kierunku plaży, aby ostatecznie stanąć na niej po kilkudziesięciu minutach. Wtedy dopiero, spojrzawszy w górę, poczuł lekki niepokój – to był dość niebezpieczny pomysł. Trudniej będzie wejść. Na pewno nie pójdzie już tak łatwo...

Rozejrzał się wokół. Zapierający dech w piersiach swym pięknem widok powalał.

Pierwszą rzeczą, jaka rzuciła mu się w oczy, było morze, a dokładnie jego kolory.

Robiły niesamowite wrażenie – od turkusowego, poprzez zieleń i błękit, po ciemny granat.

W krystalicznie czystej, niezmąconej wodzie można było bez trudu dostrzec całe bogactwo morskich stworzeń – od rozgwiazd, koników morskich i ośmiornic, po jeżowce i fantastycznie wyglądające gatunki kolorowych ryb, pływających majestatycznie we wszystkich kierunkach, i niereagujących wcale na obecność człowieka.

Plaża była raczej kamienista (gdzieniegdzie widać było trochę piasku i żwiru), a na jej końcach skały wieńczyły całą, tę urokliwą zatokę. Wejście do morza usłane było dywanem szaro-białych kamieni o przeróżnych rozmiarach i kształtach, co utrudniało wchodzenie doń „gołą stopą”...

Kiedy tak przyglądał się zachwycony temu, co krył w sobie przybrzeżny pas wody, nie spostrzegł nawet, że w jego kierunku (a może po prostu w kierunku brzegu) podpłynęła po cichu i niepostrzeżenie na dość bliską odległość wielka, biała, luksusowa łódź kabinowa z dużym, czerwonym napisem na jednej burt: GOLDEN PARADISE.

Gdy była już prawie na płyciźnie, nagle z kabiny wyłonił się wysoki, dobrze zbudowany, opalony mężczyzna w białej, kapitańskiej czapce, którą można było nabyć w każdym sklepiku z pamiątkami, i założywszy na stopy czarne, gumowe buty z krytą piętą, przypominające ścięte na wysokości kostek kałasze, w sposób zdecydowany zsunął się do morza. Nie było tam więcej niż metr głębokości. Mocno trzymając jedną ręką kadłub łodzi, szedł dnem w kierunku jej dzioba, by w końcu chwycić w dłoń grubą linę, zakończoną potężną, ciężką kotwicą.

Musiała naprawdę sporo ważyć, bowiem mężczyzna ujął ją oburącz z niemałym trudem i w ten sposób zaniósł na sam brzeg, gdzie po mocnym zamachu zza głowy, wbił ją pewnie w kamienisty brzeg. Widać było, że dysponuje niesamowitą siłą.

- Teraz mi nie ucieknie – rzekł ni stąd, ni zowąd do Mata w jego ojczystym języku. – Fantastyczne miejsce! Często tu zaglądam. Chciałem porobić trochę zdjęć tych jeżowców, które tam siedzą – to powiedziawszy wskazał palcem na skały, na których aż roilo się od małych, czarnych, okrągłych zwierzątek,

nadziających mnóstwem czarnych kolców.

- Pan jest tu na wakacjach? – spytał Mat.

- Na wakacjach. Lubię te strony. Raz zobaczyć Grecję, to zakochać się po grób! – odpowiedział wesoło mężczyzna, podejmując z zainteresowaniem rozmowę. – A tych tam, to lepiej unikać. To diabelnie dobra rada! Można zaoszczędzić sobie poważnych kłopotów. Jak się na takiego przez pomyłkę nadeptnie, to koniec! Kolec się łamie i zostaje w ciele. A potem to już kaplica! Nie goi się to i paprze.

Mężczyzna wydał się od razu kimś równym i łatwym w kontakcie. Skracając dystans do niezbędnego minimum, co wielu z nas natychmiast utożsamiloby z nagłym, spontanicznym wybuchem sympatii, sprawiał wrażenie kogoś, kogo znało się dziesięć lat temu w dobrym tego słowa znaczeniu. Zdawał się być jak ów stary, szkolny koleżka, który nagle wyrósł jak brązowy grzyb po ciepłym, ulewnym deszczu na drugim końcu wielkiego świata i swym swojskim, bezpośrednim zachowaniem zdawał się jasno dawać do zrozumienia, że upływ czasu to tylko upływ czasu i nic poza tym.

Niewiele jest twarzy, które tak jak ta, nie miały pomarszczonego, marsowego czoła, jowiszowego spojrzenia i totalnej bzdury wypisanej gdzieś między jednym uchem a drugim.

- To dobrze, że mam buty – odparł Mat, zwracając się ku nieznajomemu.

- To diabelnie dobrze – rzekł półzartem mężczyzna, poprawiając tandetnego, żółtego orzełka na swej czapce, który się nieco przekrzywił.

- Tu trzeba mieć buty.

- Grecja to kamienisty kraj.

- Właśnie.

- Mając buty, mamy szansę na wiele.

- Też tak myślę.

- Co tu robisz?

- Nie wiem. Po prostu tu jestem...

- Chciałeś tu popływać? Tu same kamienie...

- Nie mam pojęcia. Po prostu chciałem tu być.

- Po prostu?

- Tak.

- Co to znaczy? Miałeś powód?

- Może...

- Pogadamy?

- Nie wiem...

- Nie wiesz?

- Może...

- Skoro tu jesteś, coś wiesz.

- Chciałbym.

Mężczyzna ponownie poprawił tandetnego, żółtego orzełka na swej czapce i rzekł:

- Jestem tu na wakacjach. Mam jacht, tę łódź. Korzystam z życia. Wiem, jak to się robi. Kręcę się po okolicy. To piękny kawałek świata. Za jakiś czas będę gdzie indziej. Jak ty pewnie. Czasem warto pogadać z nieznajomym o tym, czego nie powiedziałoby się najbliższemu...

- Ma pan rację.

- Mam jakąś godzinkę. Jak chcesz coś powiedzieć, powiedz. Potem mam być w hotelu na obiedzie. Nie chcę go stracić – tu nieźle karmią! Kocham te greckie smakołyki! Nie mam za dużo czasu. Nie nalegam. Miło byłoby pogadać na plaży. Nigdy nie wiadomo, co z rozmowy może wyniknąć. Może mógłbym ci w czymś pomóc?

Mata zdziwiła nagła propozycja nieznajomego.

- Pan?
- Ja.
- Wyglądam na kogoś potrzebującego pomocy?
- Nie wiem, jak wyglądasz. Wyglądasz na pierwszy rzut oka normalnie. Niczego dziwnego w tobie nie zauważyłem.
- Na pewno?
- Powiedziałem. Niczego dziwnego w tobie nie zauważyłem.
- Pan nie jest ze mną szczery. Kiepsko idzie mi udawanie. Nigdy nie umiałem kłamać. To pewnie widać... pewnie widać, że ze mną coś nie tak. Pan to wyczuł, prawda?
- Człowiek w kapitańskiej czapce spojrzał badawczo na Mata i rzekł:
- Zgadza się. Chyba nie najlepiej z tobą... Pogadamy?

Usiedli na dużych kamieniach, które leżały tam, gdzie zaczynała się plaża, a kończyło zbocze, i nie minęło dziesięć minut, a wszystko to, co miało być powiedziane, zostało powiedziane.

Wtedy nieznajomy odezwał się sennym, beznamiętnym głosem, jakby to, co właśnie usłyszał, nie zrobiło na nim najmniejszego wrażenia:

- Tak... Pieniądze rzecz nabyta. Raz są, raz ich nie ma. Lubią sobie nieźle zakpić z człowieka. Samo życie. Nie można tego tak poważnie traktować. Ile ci potrzeba?
- Słucham? – padło nagle pytanie pełne szczerzego zdziwienia.
- Pytam, ile ci potrzeba – powtórzył mężczyzna.
- To dla mnie niepojęte. Dlaczego pan to powiedział? Pan mnie nawet nie zna. Jestem dla pana nikim. Co pana może obchodzić to, co mnie spotkało na tamtej ulicy?
- Prawdę mówiąc nic. Może mnie to rzeczywiście nic nie obchodzić, ale nie musi. Może być wręcz odwrotnie.
- Co ma pan na myśli?
- Czy to takie dziwne, że chcę pomóc rodakowi w obcym kraju, który nie ma na opłacenie pensjonatu? Czy wszyscy ludzie to dziś świnię? Tak sobie pomyślałeś? Każdy musi każdego wdeptywać w ziemię, jeśli nadarzy się ku temu okazja? A może jest inaczej? Może warto czasem coś dać, aby potem dostać? Może warto dać, nawet wtedy, kiedy wie się, że nie dostanie się nigdy nic... - zakończył filozoficznie człowiek w kapitańskiej czapce.
- Pan poważnie? – spytał nieśmiało Mat.
- A niby czemu nie? Pieniądzom trzeba rozkazywać, a nie służyć im! Jeśli ci pomogę, na pewno nie zbiednieję – bądź spokojny – odpowiedział mężczyzna. – Ale jeśli nie chcesz, trudno.
- Jestem panu bardzo wdzięczny. Nawet nie wie pan, jak... - padła szybka odpowiedź, która wypowiedziana drżącym głosem, przypominała mowę kogoś, kto zmarł na kość na mrozie.
- Domyślam się. Na twoim miejscu zrobiłbym dokładnie to samo. Z sytuacjami bez wyjścia jest tak jak ze śmiercią – są tacy, którzy ją już przeżyli, tacy, którzy akurat przeżywają lub jeszcze inni, którzy przeżyją ją w przyszłości. Nic nowego pod słońcem. Ty miałeś pecha właśnie tu i teraz. Wiesz już, jak to pachnie. Poczekał, zaraz wróć... - wypowiedziawszy te słowa, nieznajomy ruszył ku swej łodzi, która kołysała się leniwie na linie kilkanaście metrów od brzegu, i gdy był już przy niej, w mgnieniu oka wspiął się po burcie na pokład i zniknął na moment w kajucie. Po chwili wyłonił się z małą, czarną walizką. Spacer w wodzie nie zajął mu dwóch minut...

Gdy był już z powrotem na brzegu, poprawił niedbałym ruchem, jakby od niechcenia, kotwicę, tkwiącą pewnie wśród kamieni, czyniąc to tak, jakby w owej chwili była to najważniejsza rzecz, którą należało wykonać, i podszedł do miejsca, w którym siedział Mat.

Usiadł.

Uśmiechnął się szeroko.

Potem otworzył swoją walizkę w taki sposób, aby nie było widać, jaki był szyfr.

- Odwróć się – rzekł nagle stanowczo.

- Ale czemu?

- Odwróć się – powtórzył mocniej.

- Dobrze.

Po chwili dał się słyszeć cichy szelest, potem suchy trzask i coś wyraźnie zachrząściło na kamieniach.

- W porządku. Teraz możesz popatrzeć.

Pierwszą rzeczą, jaką Mat ujrzał, były spory plik nowiotkich banknotów w ręku mężczyzny, drugą zaś jego czarny rekwizyt, stojący obok, postawiony pionowo rączką do góry, z całym szacunkiem i poważaniem, jak gdyby stał na podłodze w biurze szanowanego radcy prawnego, który obsługuje tylko za-
możnych klientów.

- To twoje pieniądze. Myślę, że wystarczy na zapłacenie rachunku i jakieś drobne wydatki – rzekłszy to, nieznajomy wręczył mu to, co trzymała jego dłoń.

- To za dużo...

- Bierz, jak dają.

- Ale jak je panu oddam? Traktuję to jako pożyczkę. Powie mi pan? – pytanie to wcale nie zdziwiło człowieka w kapitańskiej czapce.

Na jego twarzy pojawił się nieokreślony uśmiech i wnet potem padły zagadkowo brzmiące słowa:

- NIE CHCĘ ICH ZWROTU. NIE PODAM CI TAKŻE NUMERU MEGO KONTA ANI ADRESU. WOLĘ POZOSTAĆ ANONIMOWY. JEDNAK MAM PEWIEN, ŻELAZNY WARUNEK: JEŚLI, GDZIEŚ, KIEDYŚ, PRZYJDZIE SIĘ NAM ZNÓW SPOTKAĆ, WTEDY JA POPROSZĘ CIĘ O PRZYSŁUGĘ. SĄDZĘ, ŻE NA PEWNO CIĘ POZNAM, CHOĆ Z BIEGIEM LAT ZMIENIA SIĘ WYGLĄD CZŁOWIEKA. JA NIGDY NIE ZAPOMINAM KOGOŚ, KOGO JUŻ GDZIEŚ WIDZIAŁEM. GDYBYŚ TO TY ZAPOMNIAŁ, PRZYPOMNĘ CI WTEDY DZISIEJSZY DZIEŃ. TO WSZYSTKO. NIE PRZEWIDUJĘ ODMOWY. TAKA JEST NASZA UMOWA.

- Pan mówi to poważnie?

- Naturalnie. Jakże by inaczej. Może nigdy nie natkniemy się na siebie, a może przypadek sprawi, że raz jeszcze to nastąpi. Może pozostaniesz na zawsze moim dłużnikiem, a może będziesz miał okazję odplacić się dobrym uczynkiem za dobry uczynek. Czas da odpowiedź.

Nastąpi cisza.

Tylko morze delikatnie muskało kamienny brzeg...

W powietrzu wisiał ciąg dalszy...

- Zgoda – rzekł Mat. – Nie mnie tu decydować. Zrobię jak pan chce, choć przyznam, że to trochę... niesamowite!

- Powiadasz?

- Tak myślę.

- W sumie możesz tak myśleć.

- Po prostu niesamowite...

- Daj spokój! Wszystko dobre, co się dobrze kończy! Nie myśl za dużo – to szkodzi. Ciesz się, że wracasz do domu cały i zdrowy. Chyba o to ci chodziło. Powoli będę się zbierał. Nie chcę stracić mego obiadu. Tu diabelnie dobrze karmią. Kocham ten kraj. Kocham go kochać. Trzymaj się, chłopcze, i uważaj na przyszłość na swoje kieszenie. Są lepsze miejsca na noszenie pieniędzy. Ale się zagadaliśmy. Zapomniałem przez to o moich zdjęciach! Cóż, może innym razem... – to powiedziawszy mężczyzna podniósł się powoli z kamienia, na którym siedział, i zabrawszy swoją czarną walizkę, ruszył wesoło pogwizdując w

kierunku swej łodzi. Wszedł jak poprzednio do wody i najpierw, zanim cokolwiek zrobił, zaniósł swój rekwizyt tam, skąd go zabrał.

Potem ześlizgnął się raz jeszcze do morza i wrócił na brzeg, aby odczepić kotwicę.

Jak cofnięty film nastąpił teraz ciąg czynności, które wykonywał wcześniej w odwrotnej kolejności. Po kilku minutach opuszczał już zatokę, by w końcu zniknąć z pola widzenia.

Tylko plik nowiutkich banknotów świadczył niezbicie o tym, że wszystko to wydarzyło się naprawdę...

Schowawszy go głęboko do kieszeni, Mat wrócił oszołomiony i szczęśliwy do pensjonatu i pierwszą rzeczą, jaką natychmiast zrobił, było zapłacenie rachunku za pokój. Kamień spadł mu serca. Znow był wolnym człowiekiem. Wydostał się ze swej matni. Uniknął cudem poważnych konsekwencji. Wiedział też, że mogło być inaczej, gorzej. Jednak nie było. Czysty przypadek zmienił diametralnie bieg jego historii. Teraz mógł odetchnąć pełną piersią i spokojnie zacząć się pakować. Chciał jak najszybciej być już w domu i ostatecznie wyprzeć z pamięci cały ten, przedziwny ciąg niesamowitych wydarzeń, których do końca nie rozumiał, i obawiał się, że wszelkie próby ogarnięcia tego wszystkiego trzeźwym rozumem przyprawia go jedynie o nieznośny ból głowy i napełnią poczuciem przykrej bezsilności wobec czegoś, co go najzwyczajniej przerosło.

Wiedział również, że nigdy nie pojmie tego, co zrobił dla niego wtedy, na tej kamienistej, greckiej plaży, tajemniczy człowiek w kapitańskiej czapce.

Następnego dnia Mat opuścił Grecję i wrócił do domu.

Nigdy potem nie zdecydował się na przyjazd do tego kraju – wybierał inne, gdzie nic nie przypominało mu o tamtych, dziwnych chwilach, których wolał nie pamiętać.

Niebawem, po kilku tygodniach poszukiwań znalazł dobrze płatną pracę w doskonale prosperującej firmie produkującej sprzęt medyczny, a dwa lata później ożenił się z pewną miłą dziewczyną, która okazała się jego przeznaczeniem i wniosła do jego życia wszystko to, o czym każdy, normalny mężczyzna marzy skrycie w chwilach samotności.

Był szczęściarzem. Mógł tak o sobie szczerze powiedzieć. Kochał swoją pracę, a praca kochała jego, co oznaczało miłość odwzajemnioną, a więc stopniowe awansowanie coraz wyżej i wyżej, płynne pięcie się w górę po drabinie kariery, i nie minęło dziesięć, może dwanaście lat, kiedy pewnego, słonecznego poranka został jednym z dyrektorów firmy, w której kiedyś zaczynał od zera, jako jedyny w jej historii, któremu udało się to przed czterdziestką.

Kiedy któregoś dnia jeden z kolegów, wróciwszy właśnie z wakacyjnych wojaży, opowiadał mocno ożywiony o swej niedawnej podróży do Grecji, Mat uśmiechał się tylko pod nosem, spokojny i szczęśliwy, że dawno już zapomniał o tamtym przykrym incydencie, o dławiącym lęku, który wtedy mu towarzyszył i ku swemu zaskoczeniu, o nim – tajemniczym człowieku w kapitańskiej czapce, który w nieszczęściu podał mu wówczas pomocną dłoń, zwyczajnie dając pieniądze, lekko i ze świadomością, że nigdy ich nie odzyska, a którego twarzy nie potrafił już sobie przypomnieć.

Zniknęła, odeszła.

Rozpłynęła się w nieistnieniu.

Pamiętał tylko tę śmieszłą czapkę z tandetnym żółtym orzełkiem...

Reszta stała się tylko świadomością, że kiedyś wszystko to miało rzeczywiście miejsce.

Jak echo minionych, przebrzmiałych chwil...

Czas płynął dalej – czas jak rzeka, która nigdy nie wpływa do żadnego morza.

Mijały lata...

- Może byś poszedł z nami do tej greckiej knajpki? – zapytał jakiś czas później jeden z jego znajomych. – Pewnie słyszałeś, że w mieście otworzyli niedawno coś takiego! Podobno dają tam całkiem niezłe żarcie! Warto zajrzeć. Co ty na to?

Zgodził się.

Zwyciężyła zwykła ciekawość. Lubił jeść w dobrych restauracjach – przywykł do tego w ostatnich latach. Odnalazł tam siebie i prostą radość jedzenia. Może zawsze lubił sobie niezłe podjąć?

W międzyczasie stał się nawet zdeklarowanym koneserem egzotycznych kuchni i zdecydowanym, zapamiętałym smakoszem przedziwnych potraw z dalekich łądów.

Czerpał przyjemność z odkrywania coraz to nowych, przyjemnie wyglądających miejsc, gdzie genialni kucharze specjalnie sprowadzani z obcych krajów, profesjonalnie przyrządzali swe fantastyczne potrawy, wkładając w nie część swej duszy, zawsze uśmiechnięci i zadowoleni ze swej pracy i z tego, że innym to smakuje i wracają po więcej.

Przez te wszystkie lata nie jadł nic greckiego – czyż to nie dziwne?

Może dlatego, że nie było w mieście żadnej restauracji z greckim jedzeniem, a może powód tkwił zupełnie gdzie indziej...

Pewnej niedzieli, razem ze znajomym, jego żoną oraz swoją, wybrał się do owej niedawno otwartej, greckiej knajpki, gdzie ponoć dobrze karmili, i gdzie miał nadzieję spędzić w miłej atmosferze godzinę lub dwie i osobiście przekonać się, czy rzeczywiście jest to miejsce, do którego w przyszłości warto wracać i zostawiać w nim swe pieniądze.

Po chwili zamówiono główne rarytasy.

Na potrawy nie trzeba było długo czekać.

Niebawem na stole pojawiły się solidne porcje *suvlaki* z różną, wielki półmisek *patates* (frytki), talerzyki, na których leżały smakowite *tzatziki*, troszkę *taramas*, nieco *briam* (bukiet z warzyw) i butelka wina *Ret-sina*, przyprawionego tradycyjnie żywicą sosnową.

Nagromadzenie mnóstwa talerzy z przysmakami miało decydować o uroku tradycyjnego posiłku, wywołując w jedzącym pewność, iż gospodarz ma szeroki gest i niczego nie żałuje – woli, aby zbywało, niż miałoby zabraknąć. Na środku stołu stał koszyk z chlebem i karafka z wodą. Obok zasadniczych dań ustawione były liczne dodatki, takie jak cebulki w sosie pomidorowym, fasolka w oleju i wiele innych. Obowiązywała zasada jedzenia wszystkiego jednocześnie i nakładania sobie swobodnie z każdego talerza wedle woli, co wydawało się dość ciekawą odmianą i miało w sobie coś z intymnego, kameralnego nastroju swojskich spotkań rodzinnych. W końcu, co kraj, to obyczaj.

Po godzinie, w trakcie której skonsumowano prawie wszystko, co uprzednio wjechało na stół, każdy z gości już wiedział doskonale, że jest to miejsce godne częstszego odwiedzania i warte pieniędzy, które trzeba było w nim zostawić.

- Przepraszam was na moment – rzekł Mat, skończywszy jeść. – Zaraz wracam.

Idąc do toalety zapragnął nagle sprawdzić, czy przed knajpką stoi jakaś wolna taksówka i w tym celu ruszył ku drzwiom wejściowym. Wyjrzał i upewnił się – była jedna.

Akurat podjechała i wysiadł z niej jakiś niemłody już mężczyzna w czarnym garniturze.

Spokojnym, niespiesznym krokiem podszedł do wejścia.

Wszedł do środka i rozejrzał się ciekawym wzrokiem po egzotycznym wnętrzu, jakby przyszedł tu na wizytację lub chciał wyrobić sobie „na gorąco” opinię o tym miejscu, która mogła w konsekwencji zaważyć na tym, że zostaje lub idzie gdzie indziej.

Wychodząc z toalety, dziwnym trafem Mat zderzył się z owym nieznajomym mężczyzną, który właśnie się odwrócił, zapewne nie zdając sobie sprawy, że za nim ktoś jest, i wówczas ich oczy na krótką chwilę

spotkały się.

- Przepraszam – rzekł odruchowo Mat.

- Ja również – odpowiedział uprzejmie człowiek, który przyjechał taksówką.

Miał przenikliwy, świdrujący wzrok.

Taki, jaki widuje się zazwyczaj u ludzi, którzy dobrze znają innych ludzi i ich naturę.

Dziwny błysk jego oczu wróżył coś nieprzewidywalnego i nieco niepokoił...

Stał i patrzył, jakby przypadkowo odkrył rzecz, której się wcale nie spodziewał.

Nagle na jego twarzy zaigrał nieokreślony uśmiech, a potem padły spokojnie wypowiedziane słowa:

- Poznajesz mnie?

- Słucham?!

- Poznajesz mnie?

- Nie przypominam sobie, abyśmy byli na „ty”, proszę pana – zachnął się nieco Mat.

- Wcale ci się nie dziwię. Na twoim miejscu też chciałbym o wielu rzeczach zapomnieć... - powiedziawszy to mężczyzna uśmiechnął się szerzej, lecz przypominało to raczej jakiś kwaśny grymas, niż szczery uśmiech.

Nie wyglądał na kogoś, kto zamierza zakończyć tę osobliwą rozmowę.

Nie wyglądał na kogoś, komu nagle zebrało się na niepoważne żarty.

Nie zdradzał żadnych oznak zdenerwowania, co tym bardziej mogło u rozmówcy wywołać lekką panikę i pewną, psychiczną dezorientację.

- To jakaś pomyłka. Pozwoli pan, że wrócę do mego stolika. Nie jestem tu sam. Miłego dnia! – bąknął na poczekaniu Mat.

- Poczekaj. Nie tak szybko. Mówiłem ci, że tak będzie. Właśnie tak. To znaczy, powiem inaczej: brałem pod uwagę taką wersję wydarzeń...

- O co panu chodzi? Czy pan wie, kim jestem? Nie życzę sobie, aby ktokolwiek, kogo nie znam, mówił do mnie inaczej niż „proszę pana”. To taka ogólnie przyjęta formuła w kręgu ludzi kulturalnych. Nie wiedział pan o tym?

Nieznajomy chrząknął dwa razy, rozejrzał się raz jeszcze po ścianach, jakby obmyślając odpowiedź, po czym beznamietnie rzekł:

- Pamiętasz taką plażę w Grecji, kilkanaście lat temu, hm? Pewnego okradzionego na ulicy chłopaka, który nie miał na zapłacenie pensjonatu? I jak to wszystko się skończyło? Pamiętasz to jeszcze?

Mat zbłądł i poczuł się jak ktoś, kogo postawiono nad przepaścią i kazano skoczyć.

Nagle olśnienie nie było przyjemne...

- Pamiętam...

- To dobrze. Skoro tego wszystkiego nie zapomniałeś, nie zapomniałeś także o naszej umowie.

- Nie zapomniałem.

- Wtedy nie byłem z tobą szczery... – mężczyzna mówił swobodnie, jak gdyby nigdy nic. - Sam nie wiedziałem, że kiedyś mogę potrzebować tej przysługi, o której tam ci mówiłem. Tak tylko powiedziałem. Nawet przez chwilę nie wierzyłem, że jeszcze kiedykolwiek się spotkamy. Nie miałem nawet pojęcia, o co mógłbym ci kiedyś poprosić. Nie jestem jasnowidzem. Czemu ci pomogłem? Miałem taki kaprys. Chciałem ci dać te pieniądze i to wszystko. Zawsze miałem do nich dość lekką rękę. Nie było w tym żadnego, ukrytego celu. To tak, jak zjeść kanapkę albo jej nie zjeść. Miałem ze sobą wtedy trochę forsy w tej czarnej walizce, pamiętasz? Po prostu dałem ci ją jak daje się dziecku cukierka...

- Wiele razy zastanawiałem się, co pana do tego skłoniło... - rzekł półgłosem Mat. – Bardzo wiele razy...

- Brak powodu to też powód – na twarzy mężczyzny znów pojawił się dziwny grymas.
 - Myślałem, że musiał być jakiś...
 - Myliłeś się. Ale w międzyczasie coś się zmieniło. Jak to w życiu, wiesz...
 - Co ma pan na myśli?
 - JEDNAK POPROSZĘ CIĘ O TĘ PRZYSŁUGĘ.
- Mat zbladł jeszcze bardziej niż poprzednio i tym razem poczuł się jak ktoś, kto już spada w przepaść...
- Pan mówi poważnie?
 - Absolutnie.
 - To dla mnie szok.
 - Widzę.
 - Wiem, że powinienem...
 - Zgadza się. Powinieneś. Taka była nasza umowa. Dotrzymujesz na co dzień słowa? – człowiek w czarnym garniturze nastawił uszu.
 - Tak – odparł cicho Mat.
 - Jak dżentelmen?
 - Tak.
 - Boisz się?
 - Nie wiem...
 - Nie wiesz, o co cię poproszę...
 - Nie wiem.
 - Jednak nadal twierdzisz, że słowny z ciebie człowiek, prawda?
 - Prawda.
 - To dobrze się składa. Będziesz miał okazję mnie o tym niedługo przekonać. Ale już nie dziś. Wracaj do swego stolika i baw się dobrze. Za trzy dni bądź tu. O piątej po południu. Ten facet, który jest kierowcą tamtej taksówki, przyjedzie po ciebie i zabierze cię w pewne miejsce. Zaraz mu to powiem. Teraz się boisz?
 - Tak. Boję się.
 - Na twoim miejscu czułbym to samo. Jednak mam dla ciebie dobrą wiadomość – włos ci z głowy nie spadnie. Nie skrzywdzę cię. Nie o to chodzi. I wiesz, co?
 - Co?
 - Nie skrzywdzę cię nawet, jeśli teraz się wycofasz. Po prostu pozostawię cię z tym wszystkim.
 - Nie wycofam się – rzekł twardo Mat i spojrzał zdecydowanym wzrokiem na mężczyznę.
 - Możesz.
 - Nie wycofam się – powtórzył dobitnie.
 - Mogę zapomnieć o tych pieniądzach i długu wdzięczności. Mogę poprosić o tę przysługę kogoś innego.
 - Pan mnie wtedy uratował. Zrobię teraz to, co trzeba. Jestem słownym człowiekiem.
 - Do zobaczenia za trzy dni – powiedział sucho człowiek w czarnym garniturze.
 - Do zobaczenia – odpowiedział Mat, patrząc roziskrzonym wzrokiem jak jego rozmówca znika za drzwiami wejściowymi.

Potem było długie oczekiwanie, pełne napięcia i irracjonalnego lęku – nie sposób było przewidzieć, o co poprosi go ów tajemniczy „znajomy z przeszłości” – pojawiła się także uporczywa bezsenność i mimowolne drżenie rąk.

Natrętny ból głowy nie pozwalał się skupić na niczym, a tysiące myśli, od najgorszych po wręcz katastroficzne, kłębiły się dziko w mózgu, niczym stado rozszalałego robactwa, przyprawiając o wieczne zdenerwowanie i powtarzające się w ciągu dnia napady hysterii.

Pewnej rzeczy nie rozumiał: dlaczego całą sprawę widzi w tak czarnych kolorach?

Czemu nagle przyplątała się doń jakaś niewytłumaczalna „pewność”, że to, co niebawem się wydarzy, będzie dalekie od bez troskiej pogawędki o niczym i skoro ów nieznajomy zdecydował się go o to poprosić, musi to być rzecz pierwszorzędnej wagi, a więc sprawa poważna, mogąca skutkować poważnymi konsekwencjami...

Przeczuwał, że zetknie się z czymś wyjątkowym i niecodziennym, i nie potrafił pozbyć się myśli, iż czekają go ciężkie chwile. Nie umiał spojrzeć na to inaczej.

Minęły trzy dni.

Minęły jak koszmarna wieczność.

O godzinie piątej był już w greckiej knajpce.

Naprawdę zamówił kieliszek siedmiogwiazdkowej *Metaxy* i wypił go jednym haustem.

Zanim się obejrzał, taksówka już czekała.

Zapłacił rachunek i wszedł do samochodu.

- Za jakieś pół godziny powinniśmy być na miejscu – odezwał się na powitanie kierowca.

- Za jakieś pół godziny... - powtórzył jak echo Mat. – A gdzie właściwie jedziemy?

- To pan nie wie?

- Nie.

- Do domu pana Osmana.

- A kto to?

- Pan go nie zna? Nie słyszał pan nigdy o nim? – szczere pytanie taksówkarza kryło w sobie jakąś ukrytą prawdę.

- Nie znam. A powinienem?

- No tego to już panu nie powiem. Pan Osman robi interesy... Rozumie pan, co mam na myśli? – szofer spojrzał nagle w znaczący sposób, ruszając kilkakrotnie brwiami, po czym uśmiechnął się dwuznacznie w sposób, w jaki uśmiechają się ludzie, którzy chcieliby coś powiedzieć, bo mają to już na końcu języka, ale wolą tego nie mówić, bo pewnych rzeczy nigdy nie należy nagłaśniać, zwłaszcza w obecności obcych.

- Chyba tak... - mruknął Mat, nagle poblądłszy.

- No to w drogę! – zawołał kierowca i uruchomił silnik.

Po chwili jechali już ulicami, wiodącymi gdzieś na północ, nie rozmawiając wcale.

Ulice, choć znane na pamięć, tego dnia wydały się zupełnie inne, jakby odmienione i oświetlone nowym, nieistniejącym w rzeczywistości, zrodzonym w pełnym napięcia umyśle, światłem tysiąca lęków, dusznego niepokoju i bolesnego oczekiwania...

Tego dnia wszystko emanowało niepokojącą, złowróżbną innością.

Czas podróży dłużyl się niemiłosiernie.

Gdy byli już na przedmieściach, wnet stało się jasnym, iż dom, do którego mieli niebawem dotrzeć, znajdował się poza miastem, w okolicy znanej z ogromnych, luksusowych wili, przypominających małe pałace, otoczonych gęstym żywopłotem, aby nikt nieproszony nie zaglądał do środka i nie zakłócał spokoju mieszkańcom.

- To tam – szofer wskazał palcem monstrualnej wielkości biały pałacyk z czarnym dachem. – On na pana czeka w środku.

Po chwili samochód zatrzymał się przy furtce i Mat wysiadł.

- Niech pan wchodzi – przez półotwarte drzwi taksówki dobiegł do niego głos kierowcy.

Wszedł.

Powoli zapadał wieczór i pewnie dlatego w jednym z okien paliło się światło.

Reszta domu drzemała w półmroku, tonąc w absolutnej ciszy.

- Może on tu sam mieszka? W takim wielkim domu w pojedynkę można zwariować...

Idąc wąskim chodnikiem prowadzącym do drzwi pałacyku starał się zachować resztki opanowania (od spotkania w greckiej knajpce coraz bardziej zbliżał się do niebezpiecznej krawędzi rozstroju nerwowego) i udawał sam przed sobą, że całkiem nieźle idzie mu odgrywanie zimnej krwi i jakiejś rozpaczliwej formy spokoju, która pojawia się w sytuacjach ekstremalnych jako ostateczna, krańcowa reakcja na niewyobrażalny lęk i napięcie, kiedy można już tylko biernie oczekiwać na dalszy przebieg wypadków.

Gdy szedł już kamiennymi schodami w górę ku wejściu, drzwi nagle otworzyły się i stanął w nich jego tajemniczy „znajomy z przeszłości”.

Na jego twarzy pojawił się przewrotny uśmiech, ni to zadowolenia, ni to zwycięstwa.

- A jednak jesteś! Nie jesteś tchórzem. Może to tylko ciekawość, co? Może to ona zaważyła na twojej decyzji, hm? – gospodarz przywitał go pytaniami.

- Chcę wyrównać rachunki – brzmiała odpowiedź.

- Zrobisz to.

- Zrobię.

- Wejdz.

Niebawem byli już w wielkim salonie, w którym na ścianach wisiały liczne obrazy przedstawiające sceny z mitologii greckiej, a na podłodze stały przeróżne wazy, amfory i inne wyroby stylizowane na helleński antyk.

- Zawsze kochałem ten kraj. Mam tu taką jego małą namiastkę. Napijesz się czegoś?

- Tak.

- Proponuję doskonałą *Metaxę Private Reserve*, ma dobre dwadzieścia lat, za którą zapłaciłem majątek, ale to już nie twoja sprawa. Reflektujesz?

- Poproszę.

Gospodarz ruszył ku swemu okazałemu barkowi i wyjąwszy butelkę i kieliszki, nalał.

Pili w ciszy.

Mat wiedział, że ta cisza coś oznacza i nie pomylił się.

Wtedy usłyszał jego słowa:

- Posłuchasz?

- Czego?

- Tego, co chcę ci opowiedzieć.

- Chętnie.

Wypili jeszcze po jednym kieliszku i zakończyło się to, co można by nazwać wstępem.

- Przejdę w miarę szybko do sedna. Jednak muszę ci powiedzieć to i owo. Pewne rzeczy wymagają tzw. wprowadzenia...

- Słucham.

- Od dawna stoję na rozstajnych drogach. Na rozdrożu, na które zapracowałem sobie przez te wszystkie lata. Nazwijmy to matnią, sytuacją bez wyjścia. Wiem, że muszę szybko podjąć decyzję, postawić wszystko na jedną kartę. To trudniejsze niż myślałem. To mnie przerosło...

Osman sięgnął po butelkę i nalał sobie. Wypił. Zapadło milczenie. Ciężkie i przykre.

Po chwili odezwał się ponownie:

- W tej sprawie chcę, abyś to ty zdecydował. Chcę, aby był to ktoś mi obcy, jednocześnie pragnę, aby zrobił to dla mnie w formie przysługi, która będzie jego dobrą wolą. Tak, przysługi, ponieważ dziś to ja cię o nią proszę. Nie będę podejmował tej decyzji. Ty zrobisz to za mnie... Niestety w tej chwili nie mogę powiedzieć ci, o jaki rodzaj wyboru chodzi. Dokonując go, nie możesz wiedzieć, co dla mnie wybie-

rasz. Jaki by nie był, jako człowiek inteligentny domyślisz się wszystkiego. Czasem trzeba zdać się na przypadek, który naprawdę nazywa się przeznaczeniem... Zamierzam dziś posłuchać jego głosu. Gospodarz zamilkł.

Mat był bardziej niż przerażony i patrzył w osłupieniu na tajemniczego mężczyznę, jak patrzy się czasami na kogoś, kto bawi się brzytwą, przeciągając po jej ostrzu zbyt szybko palcem...

- Zrobię, co pan zechce, panie Osman – rzekł po wysłuchaniu zagadkowych słów gospodarza.

On spojrzał nań i kontynuował:

- Jest historia, którą chcę ci opowiedzieć. Posłuchaj. Był taki napad na bank, dawno temu, byłeś jeszcze dzieckiem. Nie możesz tego pamiętać. Jeden z największych w dziejach nowoczesnej Europy, a może i świata. Skradziono tyle, że mogłoby za te pieniądze powstać od podstaw małej wielkości miasteczko. W grę wchodziły sztaby złota. Wielkie i ciężkie. Nie obyło się bez ostrej strzelaniny. Padło tam trzech strażników i siedem przypadkowych osób, które przyszły wpłacić czy wypłacić swoje nędznie uciulane grosze. Czyjeś matki, ojcowie, córki, a może wnuki. W tamtym banku dla nich wszystko skończyło się w jednej chwili. Pewnie mieli przed sobą jeszcze całe życie, ale kogo to wtedy obchodziło. To była prawdziwa, krwawa jatka, bezmyślna masakra. Tych, co ją urządzili, nigdy nie złapano. Nadal żyją i cieszą się swą fortuną. Niektórzy żyją sobie spokojnie w innych krajach, egzotycznych i ciepłych, gdzie mają młode, opalone żony, inni pozostali tu, gdzie się urodzili i wychowali. Są dziś poważanymi obywatelami, elitą, mają władzę. Nie wiem, co czują, ale wiem, co czuje jeden z nich... Znam go dobrze. Znam go diabelnie dobrze, chłopcze. Znam tego człowieka od zawsze i wiem, co się z nim dzieje. Nie chcę o tym mówić...

- Co mam zrobić, panie Osman? – spytał Mat.

- Poczekaj, zaraz wrócę.

Słowa te zabrzmiały tak samo jak te, które kiedyś, wiele lat temu, wypowiedział na tamtej, kamienistej, greckiej plaży, idąc do swej łodzi po walizkę z pieniędzmi. Zabrzmiały tak samo.

Z małym wyjątkiem – zabrakło w nich tamtej lekkości i swobody, z jaką wypowiada się słowa, które są wesołe i przyjemne, nieobarczone ukrytym jadem...

Nie minęła minuta, gdy mężczyzna był z powrotem w pokoju.

- Widzisz te ręce? – zapytał.

- Tak, widzę – odpowiedział Mat.

- Mam w nich dwie kulki – czerwoną i białą. Za chwilę, za plecami je pomieszam i w każdej dłoni będzie tylko jedna. Ty wskażesz tę dłoń. Będiesz wybierał. Każda z kulek oznacza pewien ruch. Pewną decyzję. Jedna jest dobra i nic nie zmieni. Wszystko będzie po staremu, bo los tak widocznie chciał. Może jeszcze nie pora na bilans zysków i strat? To będzie niezasłużony prezent od losu. Coś w rodzaju aktu łaski. Druga zaś będzie czymś zupełnie odmiennym... - tu Osman spojrzał na Mata wzrokiem równie zdecydowanym, co pełnym smutnej goryczy. – Tu wszystko będzie jasne...

- Czy to kolejny pański kaprys?

- Nazwij to, jak chcesz.

- To o taką przysługę panu chodziło?

- Zgadłeś.

- Teraz?

- Ciągnij.

Mat spojrzał na mężczyznę, który w skupieniu mieszał kulki za plecami, jak na postać urojoną, rodem z koszmarnych snów lub opowieści niesamowitych dawnych mistrzów grozy, która nagle stała się rzeczywistością i jej gra nie była już tylko grą – wciągnęła doń obserwatora.

- Ta – wskazanie padło na prawą rękę.

Wtedy, bez pośpiechu, Osman pokazał jej zawartość – była tam czerwona kulka...

Przez twarz gospodarza przebiegło coś na kształt bolesnego skurczu.

Jakiś spazm grozy przeorał nagle jego fizjonomię.

W ciągu kilku sekund zmieniła się ona nie do poznania – teraz nie była już obliczem pełnym stonowanego spokoju i naturalnej swobody, jaka towarzyszy ludziom wolnym od zgryzot, stała się nagle wyrazem tego wszystkiego, co w człowieku istnieje jako ból, cierpienie, rozpacz i mrok...

- Weź – powiedział nagle, podając Matowi białą kulkę. – Będzie ci przypominać ten dzień i to, czym bywa w życiu człowieka przysługa. Mnie już nie będzie potrzebna. Nie zgub jej. Połóż ją sobie na widocznym miejscu i traktuj jako dobry talizman.

- Nie rozumiem... - odpowiedział Mat.

- Niebawem zrozumiesz. To wszystko. Jesteśmy kwita. Wyświadczyłeś mi przysługę, o jaką mi chodziło. Odpowiedziałeś za mnie na pytanie, na jakie ja nie umiałem odpowiedzieć od bardzo dawna. To ja byłem tchórzem, nie ty, chłopcze. Nie wiedziałem przez te, wszystkie lata, że będąc tylko człowiekiem, tak mało się znałem, w tak niewielkim stopniu potrafiłem przewidzieć konsekwencje tego, co po drodze robiłem i w jaki sposób żyłem. Czasem wszystko wraca jak bumerang i wtedy jest diabelnie źle. Przychodzi taki dzień, kiedy zastanawiasz się poważnie nad sobą, nad tym, co znaczysz i czym jest twoje życie. Możesz wracać do domu. Kierowca cały czas czekał na ciebie. Jest pod domem. Odwiezie cię. Idź już. Już po wszystkim. Podjąłeś tę decyzję za mnie, bo ja nie umiałem. Teraz już wiem, co zrobić, teraz już to wiem...

Osman wskazał mu drzwi i po chwili Mat był już w drodze do taksówki. Chciał jak najszybciej być już w domu i zapomnieć o tym przedziwnym, osobliwym spotkaniu.

Miał wrażenie, że za chwilę obudzi się z tego dziwnego snu i znów będzie wokoło wszystko to, co widywał każdego dnia swego udanego, spokojnego życia i całe to niewytłumaczalne zajście skwituje gromkim śmiechem jak nedorzeczny, marny żart.

Kiedy wsiadał do samochodu, nagle ciszę rozpruł huk wystrzału.

Ktoś strzelił z pistoletu w domu Osmana...

Raz jeden.

Razem z szoferem pędem skoczyli w kierunku willi i po chwili byli już w środku.

Tu, na fotelu, w kałuży krwi, leżał bezwładnie z głową przechyloną do tyłu jej właściciel...

W ręce zwisłej bezwładnie ku posadzce trzymał rewolwer.

Obok leżała czerwona kulka...

Strzelił sobie w usta.

Jego serce nie biło.

Nie żył.

Na jego czole widniały jedynie dwie, bolesne, grube bruzdy...

Było cicho, cicho jak w grobie.

Wszędzie unosił się tylko mdły, duszny zapach śmierci.

Powietrze pulsowało pustką.

- Odwiozę pana. Jemu już nie pomożemy... - rzekł półgłosem przerażony szofer.

- Tak – odparł ledwie słyszalnym szeptem Mat.

- Dlaczego to zrobił?

- Ludzie nie zabijają się bez powodu... Może i one miał swój...

- Znałem go tyle lat...

- Może nie znał go pan wystarczająco dobrze.

Obok mijał czas, minuta za minutą...

Jakby nic się nie stało.

Mijał nieporuszony...

- Pan go wcale nie znał... - szepnął Mat, siląc się na chłodny spokój.

Kiedy następnego dnia, ujrzawszy się w lustrze, ze zdumieniem stwierdził, że osiwił zupełnie, wiedział już na pewno, że nie był to sen...

Zrozumiał także, co by się stało, gdyby wskazał na białą kulkę...

Już wiedział i był pewien, co oznaczała.

31 sierpnia 2012

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

mike17, dodano 22.11.2012 18:59

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.